Trzy stacje od twojego domu

Coraz łatwiej się spotkać. Coraz trudniej powiedzieć o wyjeździe



Laura Bellini

Trzy stacje od twojego domu

Coraz łatwiej się spotkać. Coraz trudniej powiedzieć o wyjeździe

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384903865

ALL-IN Rafał Płonkowski

SPIS TREŚCI

INTRO 5

Rozdział 1 - Mapa rzeczy, których nie można zatrzymać 12

Rozdział 2 - Umowa bez drobnego druku 24

Rozdział 3 - Przystanek, którego nie było na mapie 34

Rozdział 4 - Kolacja, podczas której nie rozmawia się o pracy 45

Rozdział 5 - Prawo do powiedzenia nie 56

Rozdział 6 - Odległość jednego oddechu 66

Rozdział 7 - Między jednym przystankiem a drugim 76

Rozdział 8 - Miejsce, w którym zostawia się świat za drzwiami 86

Rozdział 9 - Historie, które warto ocalić 96

Rozdział 10 - Wszystko, czego nie powiedzieliśmy wcześniej 107

Rozdział 11 - Miejsce na drugą szczoteczkę 118

Rozdział 12 - Termin, którego nie było w kalendarzu 129

Rozdział 13 - Cena pięknych obietnic 140

Rozdział 14 - To, czego boimy się stracić 150

Rozdział 15 - Data, której nie chciał wypowiedzieć 160

Rozdział 16 - Cisza po ostatnim tramwaju 171

Rozdział 17 - Drogi, które wybieramy sami 180

Rozdział 18 - Pierwszy krok bez gwarancji 189

Rozdział 19 - Mapa, na której jest miejsce dla dwojga 199

Rozdział 20 - Trzy stacje od domu.....210

INTRO

Gdybym tego ranka zdążyła na wcześniejszy tramwaj, prawdopodobnie nigdy nie poznałabym Adama Wilgi. A gdybym nie poznała Adama, być może nadal uważałabym, że najbezpieczniejsze są te decyzje, które można podjąć samodzielnie, bez pytania kogokolwiek o zdanie.

Ale spóźniłam się dokładnie cztery minuty.

Stałam na przystanku przy placu Wszystkich Świętych, trzymając pod pachą tubę z wydrukami, a w drugiej ręce telefon, który od szóstej rano przypominał mi o wszystkim, czego jeszcze nie zrobiłam. Kraków pachniał mokrym kamieniem i kawą z pobliskiej piekarni. Listopadowe światło było tak blade, jakby ktoś zapomniał dokończyć ilustrację nieba.

Na ekranie telefonu świeciła wiadomość od Marty, mojej agentki.

Luiza, potrzebuję ostatecznego potwierdzenia do piątku. Rezydencja artystyczna w Kopenhadze nie będzie czekać. To naprawdę duża szansa.

Wiedziałam.

Miałam trzydzieści cztery lata, własną działalność, mieszkanie wynajmowane od sześciu lat i wystarczająco dużo doświadczenia, żeby wiedzieć, że duże szanse rzadko przychodzą w dogodnym momencie. Od miesięcy pracowałam nad autorskim cyklem ilustracji miejskich. Kopenhaska rezydencja oznaczała dwa miesiące spokojnej pracy, wystawę i możliwość wejścia na rynek, na którym nikt nie pytałby, czy potrafię jeszcze zrobić coś podobnego, tylko bardziej kolorowego.

Chciałam pojechać. Naprawdę chciałam.

Mimo to nie potrafiłam nacisnąć przycisku potwierdzającego udział.

Tramwaj numer osiem nadjechał z charakterystycznym metalicznym zgrzytem. Wsiadłam ostatnimi drzwiami, przecisnęłam się między dwiema studentkami i starszym panem z siatką zakupów, po czym zajęłam miejsce przy oknie. Tubę oparłam o kolana, telefon schowałam do kieszeni płaszcza.

Dopiero wtedy zauważyłam mężczyznę stojącego naprzeciwko.

Miał ciemne włosy, trochę za długie nad kołnierzem granatowego płaszcza, i twarz człowieka, który nie czuł potrzeby udowadniania światu, że dokądkolwiek się spieszy. W jednej ręce trzymał książkę, w drugiej papierowy kubek z kawą. Czytał, stojąc w jadącym tramwaju, z pewnością kogoś, kto robił to od lat.

Zainteresował mnie jednak nie jego wygląd, lecz sposób, w jaki złożył książkę, kiedy starsza kobieta próbowała przesunąć ciężką torbę.

Bez teatralnej uprzejmości odstawił kubek na szeroki parapet, pomógł jej i wrócił do lektury.

Pomyślałam, że rzadko spotyka się ludzi, którzy potrafią być uważni bez oczekiwania wdzięczności.

Potem tramwaj gwałtownie zahamował.

Tuba wysunęła mi się spod ramienia, uderzyła o podłogę i potoczyła prosto pod jego buty.

— To chyba pani ucieka — powiedział.

Podniósł ją, zanim zdążyłam wstać.

— Nie pierwszy raz. Moje projekty mają tendencję do samodzielnego podejmowania decyzji.

Uśmiechnął się, ale nie w sposób, w jaki uśmiechają się ludzie przygotowujący już następną dowcipną odpowiedź.

— Może wiedzą, dokąd chcą dotrzeć.

— W takim razie są ode mnie mądrzejsze.

Podał mi tubę. Na jego palcach dostrzegłam ślad niebieskiego atramentu. Miał też niewielką bliznę przy kciuku, która wyglądała na starą. Zauważyłam te drobiazgi z zawodowego przyzwyczajenia. Ilustratorzy obserwują dłonie, sposób stania, charakterystyczne linie twarzy. Tłumaczyłam sobie, że właśnie dlatego przyglądałam mu się odrobinę dłużej.

— Co jest w środku? — zapytał.

— Kraków, który nie istnieje.

Uniósł brwi.

— Brzmi jak całkiem interesujące miejsce.

— Ilustracje do niezależnego albumu. Miasto złożone ze wspomnień mieszkańców. Ulice trochę przesunięte, budynki widziane oczami ludzi, którzy pamiętają je inaczej niż na mapach.

Przez chwilę patrzył na tubę z takim skupieniem, jakby naprawdę próbował zobaczyć ukryte w niej rysunki.

— Czyli mapa tego, co zostało w ludziach, zamiast tego, co zostało na ulicach?

To było najtrafniejsze zdanie, jakie ktokolwiek powiedział o moim projekcie.

Nawet Marta, która świetnie sprzedawała moje pomysły, opisywała go zwykle jako sentymentalną podróż przez architekturę Krakowa.

— Właśnie tak — odpowiedziałam ciszej.

— Chętnie bym ją zobaczył.

Nie zabrzmiało to jak propozycja podrywu. Raczej jak szczera ciekawość, która dla jakiegoś niejasnego powodu wydała mi się bardziej intymna niż komplement.

— Jeszcze nie jest gotowa.

— Najciekawsze rzeczy zwykle nie są.

Zerknęłam na jego książkę. Na okładce widniał zbiór opowiadań Brunona Schulza, mocno sfatygowany, z pozaginanymi rogami.

— Czyta pan klasykę w tramwaju?

— Pracuję w bibliotece. To ryzyko zawodowe.

— A ja myślałam, że bibliotekarze po pracy mają dość książek.

— Niektórzy mają dość ludzi. Książki bywają bardziej przewidywalne.

Zaśmiałam się, zanim zdążyłam powstrzymać reakcję.

Wtedy po raz pierwszy spojrzał na mnie zupełnie inaczej. Nie dłużej, nie natarczywiej, ale z wyraźną przyjemnością, jakby mój śmiech był czymś, na co czekał, choć nie wiedział o tym wcześniej.

Tramwaj przejechał przez skrzyżowanie. Za oknem przesunęły się mokre fasady kamienic, witryna kwiaciarni i mężczyzna prowadzący rower z pustym dziecięcym fotelikiem.

— Adam — przedstawił się.

— Luiza.

— Miło mi, Luizo.

Lubiłam, kiedy ktoś wypowiadał moje imię bez pośpiechu. Adam zrobił to tak naturalnie, że przez moment zapragnęłam usłyszeć je ponownie.

Zawibrował jego telefon. Zerknął na ekran i na ułamek sekundy stracił swobodny wyraz twarzy. Zdążyłam dostrzec tylko początek powiadomienia: Potwierdzenie terminu…

Odruchowo odwrócił telefon wyświetlaczem do płaszcza.

— Przepraszam — powiedział. — Sprawy organizacyjne.

— Znam ten gatunek problemów.

— Niestety bywa bardzo rozbudowany.

W jego odpowiedzi zabrzmiało coś, czego nie umiałam nazwać. Nie smutek ani irytacja. Raczej zmęczenie decyzją, która już zapadła.

Tramwaj zwolnił.

— Tu wysiadam — oznajmił, zamykając książkę.

Poczułam nieproporcjonalne rozczarowanie. Przecież rozmawialiśmy zaledwie kilka minut. Nie znałam jego nazwiska, nie wiedziałam, w której bibliotece pracował, i nie miałam najmniejszego powodu oczekiwać dalszego ciągu.

— Powodzenia z Krakowem, który nie istnieje — dodał.

— A panu z przewidywalnymi książkami.

Już miał odejść, kiedy spojrzał na tubę.

— Jeśli kiedyś będzie pani potrzebowała opowieści mieszkańców, proszę zajrzeć do biblioteki przy Kalwaryjskiej. Ludzie zostawiają tam więcej historii, niż można znaleźć na półkach.

— To zaproszenie zawodowe?

Zawahał się na tyle krótko, że ktoś mniej uważny pewnie by tego nie zauważył.

— Na razie tak.

Drzwi się otworzyły. Wysiadł, a ja obserwowałam przez szybę, jak zapina płaszcz i rusza w stronę przejścia dla pieszych. Nie obejrzał się od razu. Dopiero gdy tramwaj zaczął odjeżdżać, podniósł głowę.

Nasze spojrzenia spotkały się przez brudną, pokrytą deszczem szybę.

Uśmiechnął się.

Odpowiedziałam tym samym.

Telefon ponownie zawibrował w kieszeni. Wiadomość od Marty przypominała, że piątek jest ostatecznym terminem. Otworzyłam formularz rezydencji. Wszystkie rubryki były wypełnione. Brakowało tylko jednego potwierdzenia.

Przycisnęłam palec do ekranu, lecz zamiast zatwierdzić wyjazd, otworzyłam mapę Krakowa.

Sprawdziłam położenie biblioteki przy Kalwaryjskiej.

Trzy przystanki od miejsca, w którym wysiadłam każdego popołudnia.

Zaledwie trzy.

Schowałam telefon i spojrzałam na swoje odbicie w szybie. Nie wiedziałam jeszcze, czy Adam Wilga będzie miał ochotę zobaczyć moje ilustracje ani czy zapamięta imię kobiety z uciekającą tubą. Wiedziałam tylko, że pierwszy raz od wielu tygodni pomyślałam o czymś innym niż termin, projekt i samolot do Kopenhagi.

Tramwaj zatrzymał się przy moim przystanku.

Mogłam wysiąść, wrócić do pracowni i zająć się życiem, które tak starannie zaplanowałam.

A jednak, kiedy drzwi się otworzyły, przez jedną nierozsądną sekundę zastanawiałam się, co by się stało, gdybym zamiast wysiąść, pojechała jeszcze trzy stacje.

I dlaczego myśl o kolejnym spotkaniu z nieznajomym wydawała mi się nagle trudniejsza do odrzucenia niż podróż, o którą zabiegałam od miesięcy?

Rozdział 1 - Mapa rzeczy, których nie można zatrzymać

W piątek rano zdecydowałam, że nie będę szukać Adama Wilgi.

Decyzja była rozsądna, dojrzała i całkowicie zgodna z moimi dotychczasowymi przekonaniami. Miałam przed sobą dwa ważne zlecenia, niedokończony album i termin potwierdzenia rezydencji artystycznej w Kopenhadze. Nie potrzebowałam dodatkowych powodów do rozproszenia uwagi, zwłaszcza takich, które miały ciemne włosy, spokojny głos i potrafiły powiedzieć jedno trafne zdanie o moich ilustracjach.

O dziewiątej czterdzieści siedziałam jednak w tramwaju jadącym w stronę Podgórza, z teczką szkiców na kolanach i starannie przygotowanym wyjaśnieniem, dlaczego odwiedzam bibliotekę przy Kalwaryjskiej.

Wyjaśnienie brzmiało: potrzebuję materiałów do projektu.

Było nawet prawdziwe.

Przez ostatnie dwa dni zastanawiałam się nad pomysłem, który podsunął mi Adam. Mapa wspomnień nie musiała ograniczać się do rysunków opartych na mojej wyobraźni. Mogła zawierać prawdziwe historie mieszkańców, fragmenty tekstów i miejsca, które w zwykłym przewodniku pozostawały niewidoczne. Kamienicę, w której ktoś przez trzydzieści lat czekał na powrót ukochanej osoby. Przystanek, gdzie pewna kobieta codziennie czytała listy od syna. Podwórko, na którym niegdyś organizowano wieczorne czytania.

Miałam dość doświadczenia, żeby wiedzieć, że takie przedsięwzięcie wymagało czegoś więcej niż pięknych obrazków. Potrzebowałam źródeł, rozmów i zgody ludzi, których wspomnienia chciałam wykorzystać. Biblioteka mogła być dobrym początkiem.

Tyle że nie musiałam wybierać właśnie tej biblioteki.

Kiedy weszłam do środka, uderzył mnie znajomy zapach papieru, kurzu i mokrych płaszczy. Wysokie regały dzieliły przestrzeń na kameralne przejścia, a przez szerokie okna wpadało mleczne światło. Przy jednym ze stolików starszy mężczyzna czytał gazetę, obok dwie dziewczynki przeglądały album o zwierzętach. Za ladą siedziała kobieta w okularach na czerwonym łańcuszku.

— Dzień dobry. Szukam pana Adama Wilgi.

Kobieta podniosła wzrok.

— Adam prowadzi spotkanie w sali na końcu korytarza. Powinien zaraz skończyć. Mogę pomóc?

— Chciałam porozmawiać o materiałach dotyczących historii Podgórza.

— W takim razie dobrze pani trafiła. Proszę usiąść.

Wybrałam stolik przy oknie i wyciągnęłam szkicownik. Nie zamierzałam wyglądać jak kobieta, która specjalnie przyjechała trzy przystanki dalej, ponieważ obcy mężczyzna zapamiętał jej imię. Otworzyłam więc notes, wyjęłam ołówek i zaczęłam rysować wnętrze biblioteki.

Po kilku minutach usłyszałam znajomy głos.

— Wiedziałem, że Kraków, który nie istnieje, będzie potrzebował biblioteki.

Podniosłam głowę.

Adam stał przy stoliku z dwiema książkami pod pachą. Nie miał płaszcza. W ciemnozielonym swetrze wyglądał mniej oficjalnie niż w tramwaju, a jednocześnie bardziej jak ktoś, kogo można sobie wyobrazić we własnej codzienności. Rękawy podwinął do przedramion. Niebieski atrament nadal znaczył bok jego palca.

— Nie pochlebiaj sobie — odpowiedziałam. — Przyszłam po źródła.

— Oczywiście.

— Naprawdę.

— Wierzę ci. Chociaż mam wrażenie, że przygotowałaś tę odpowiedź jeszcze przed wejściem.

Zamknęłam szkicownik.

— Zawsze jesteś taki pewny swoich interpretacji?

— Tylko wtedy, kiedy ktoś patrzy na mnie tak, jakby rozważał narysowanie mi wyjątkowo dużego nosa.

Roześmiałam się.

Adam usiadł naprzeciwko, ale wcześniej wskazał krzesło pytającym gestem. Doceniłam to drobne zachowanie bardziej, niż należało. Mężczyźni, z którymi wcześniej pracowałam, często traktowali cudzą przestrzeń jak coś, co wystarczy zająć odpowiednio zdecydowanie.

— Pokażesz mi, nad czym pracujesz? — zapytał.

Przez moment się zawahałam. Moje szkice nie były jeszcze gotowe do publicznej prezentacji. Zwykle pokazywałam je dopiero wtedy, gdy mogłam kontrolować reakcję odbiorcy za pomocą odpowiedniego opisu. Adam jednak nie wyglądał na człowieka, który oczekuje perfekcyjnej prezentacji.

Otworzyłam teczkę.

Na pierwszej planszy znajdował się fragment ulicy Józefińskiej. Fasady kamienic rozpływały się w liniach przypominających deszcz, a z okien wyrastały delikatne kontury dawnych mieszkańców. Na kolejnej narysowałam most widziany z perspektywy dziewczynki, która zapamiętała go jako coś ogromnego i niebezpiecznego.

Adam oglądał ilustracje bez pośpiechu.

— Kto opowiedział ci historię tego mostu?

— Moja babcia. Kiedy była mała, bała się przechodzić przez Wisłę. Mówiła, że rzeka wyglądała wtedy, jakby mogła zabrać człowieka za samo spojrzenie.

— Piękne zdanie.

— Babcia miała talent do przesady.

— A może do opowiadania.

Odwrócił kolejną planszę.

— Wiesz, czego mi tu brakuje?

Przygotowałam się na krytykę.

— Kolorów? Ludzi? Lepszej perspektywy?

— Głosów.

Spojrzałam na niego.

— Słucham?

— Te miejsca już coś opowiadają, ale odbiorca zna tylko twoją interpretację. Gdyby obok ilustracji znalazły się krótkie wspomnienia mieszkańców, mapa zyskałaby drugi wymiar.

— Właśnie po to przyszłam.

— W takim razie mamy podobny pomysł.

Słowo „mamy” zabrzmiało zaskakująco naturalnie.

Adam wyciągnął z jednej z książek złożoną kartkę i rozłożył ją na stole. Był to schemat niewielkiej wystawy przygotowywanej przez bibliotekę. Zaznaczono na nim dzielnicę, kilka charakterystycznych punktów i miejsca związane z lokalnymi pisarzami.

— Od miesięcy próbuję zorganizować coś, co wyprowadzi literaturę poza półki — wyjaśnił. — Chcę stworzyć mapę literacką Podgórza. Nie tylko miejsc opisanych w książkach, ale też takich, w których mieszkańcy odnajdują własne historie. Biblioteka ma archiwum nagrań, wspomnień i starych fotografii. Problem w tym, że nie mam nikogo, kto potrafiłby nadać temu formę wizualną.

Przesunęłam kartkę bliżej.

— Czyli potrzebujesz ilustratorki.

— Potrzebuję kogoś, kto rozumie, że mapa może pokazywać więcej niż drogę.

Powiedział to spokojnie. Bez próby zaimponowania mi, a jednak poczułam przyjemne ciepło, którego nie chciałam analizować.

— A skąd pewność, że będę chciała pracować z tobą?

— Nie mam takiej pewności.

— Dobrze.

— Ale mam argument.

— Słucham.

— Mogę dać ci dostęp do opowieści, których nie znajdziesz w internecie.

Pomyślałam o albumie, nad którym pracowałam od miesięcy. O jego brakujących fragmentach. O tym, jak

bardzo chciałam, żeby był czymś więcej niż zbiorem estetycznych wspomnień.

— A czego oczekujesz w zamian?

Adam nie odpowiedział od razu.

— Żeby mieszkańcy nie stali się jedynie dekoracją twojego projektu.

Zesztywniałam.

— Nie traktuję ludzi jak dekoracji.

— Nie powiedziałem, że to robisz.

— Zabrzmiało inaczej.

— W takim razie źle to sformułowałem. Chodzi mi o to, żeby zachować ich głosy. Jeśli ktoś opowiada historię, powinien wiedzieć, jak zostanie wykorzystana. I mieć możliwość powiedzenia nie.

Odłożyłam ołówek.

— Zawsze pytam o zgodę.

— Wierzę. Ale zależy mi, żebyśmy ustalili to jako zasadę współpracy, a nie dobrą wolę jednej osoby.

Przyjrzałam mu się uważniej.

Nie próbował mnie przekonać uśmiechem. Nie wycofał się również ze swojego stanowiska. Był uprzejmy, lecz stanowczy w sposób, który jednocześnie mnie irytował i budził szacunek.

— Nie oddam ci kontroli nad moimi ilustracjami — powiedziałam.

— Nie proszę o nią.

— Nie będę też przygotowywać projektu, który później zostanie przerobiony przez komisję biblioteczną.

— Nie chcę komisji. Chcę rozmowy.

— Rozmowa potrafi trwać dłużej niż komisja.

— To zależy, z kim rozmawiasz.

Na chwilę oboje zamilkliśmy.

Wtedy zauważyłam, że Adam ma bardzo jasne oczy. Nie potrafiłam określić ich koloru, ponieważ zmieniał się wraz ze światłem, ale sposób, w jaki patrzył, był znacznie bardziej interesujący niż sama barwa. Nie uciekał wzrokiem, kiedy się ze mną nie zgadzał.

— Mam własny harmonogram — powiedziałam w końcu. — I zobowiązania, których nie mogę przesunąć.

— Rozumiem.

— To nie jest wymówka.

— Nie potraktowałem tego jak wymówki.

Telefon zawibrował mi w kieszeni. Marta.

Muszę dzisiaj dostać odpowiedź w sprawie Kopenhagi.

Odwróciłam ekran.

Adam to zauważył, ale nie zapytał.

— Ile czasu potrzebowałbyś na taki projekt? — odezwałam się.

— Pierwszą wersję chciałbym przygotować w ciągu sześciu tygodni. Później moglibyśmy zdecydować, czy rozszerzać mapę.

Sześć tygodni.

Dłużej, niż powinnam pozwolić sobie na nowe zobowiązania.

— To sporo pracy.

— Tak.

— I zakładasz, że zrobię ją za darmo?

Tym razem się roześmiał.

— Nie. Biblioteka ma niewielki budżet na opracowanie graficzne. Nie zamierzam obrażać cię propozycją pracy za widoczność.

— To już dobry początek.

Wyciągnął notes i zapisał kilka informacji. Jego pismo było drobne, lekko pochylone, z charakterystycznym sposobem kreślenia litery „g".

— Wyślę ci zakres i warunki finansowe. Możesz spokojnie zdecydować.

— Nie mam jeszcze twojego numeru.

— To rzeczywiście utrudnia korespondencję.

Podał mi telefon, żebym wpisała swoje dane. Zrobiłam to, starając się nie zwracać uwagi na absurdalną przyjemność płynącą z tak zwyczajnej czynności.

Kiedy oddawałam mu urządzenie, nasze palce zetknęły się na krótką chwilę. Żadne z nas nie wykonało gwałtownego ruchu ani nie zamieniło tego w znaczące wydarzenie. Mimo to zauważyłam, że Adam przez moment patrzył na moją dłoń.

— Luiza Dąbek — przeczytał. — Dobre nazwisko dla ilustratorki.

— Dlaczego?

— Krótkie. Konkretne. Trudno je pomylić z czymś innym.

— A Wilga?

— Podobno zobowiązuje do śpiewania. Rozczarowuję ludzi od trzydziestu dziewięciu lat.

— W takim razie mamy coś wspólnego. Ja rozczarowuję klientów, kiedy odmawiam rysowania uśmiechniętych filiżanek.

Naszą rozmowę przerwała starsza kobieta, która podeszła do stolika z plikiem fotografii.

— Panie Adamie, przyniosłam te zdjęcia, o które pan prosił.

Adam natychmiast wstał.

— Pani Heleno, dziękuję. Proszę usiąść, jeśli ma pani chwilę.

Kobieta spojrzała na mnie z zainteresowaniem.

— A to kto?

— Pani Luiza. Być może pomoże nam pokazać Podgórze w zupełnie nowy sposób.

Nie poprawiłam go.

Pani Helena rozłożyła fotografie przedstawiające dawną ulicę, nieistniejący już sklep i podwórko z drewnianą ławką. Opowiadała o ludziach, którzy mieszkali tam przed laty, a Adam słuchał tak uważnie, jakby każda historia była równie ważna jak książka stojąca za jego plecami.

Kiedy kobieta wspomniała o mężu, który codziennie przynosił jej kwiaty z targu, głos lekko jej zadrżał. Adam nie próbował wypełnić ciszy. Poczekał, aż sama zdecyduje, czy chce mówić dalej.

Wtedy zrozumiałam, dlaczego tak bardzo zależało mu na zgodzie mieszkańców.

Nie chodziło tylko o zasady zawodowe.

Traktował cudze wspomnienia jak rzeczy powierzone mu na przechowanie.

Po wyjściu pani Heleny obejrzałam fotografie jeszcze raz.

— Chcę spróbować — powiedziałam.

Adam uniósł wzrok.

— Naprawdę?

— Ale na moich warunkach. Najpierw przygotuję koncepcję. Nie obiecuję pełnego projektu, dopóki nie zobaczę materiałów i umowy.

— Uczciwie.

— I żadnych zmian w moich ilustracjach bez rozmowy ze mną.

— Zgoda.

— Jeżeli uznam, że coś nie działa, powiem to wprost.

Kącik jego ust drgnął.

— Tego akurat zdążyłem się domyślić.

Wstałam, zbierając szkice. Miałam wrażenie, że spędziłam w bibliotece znacznie więcej czasu, niż planowałam. Za oknem zaczynał padać drobny deszcz.

Adam odprowadził mnie do drzwi.

— Luizo?

Odwróciłam się.

— Dziękuję, że przyszłaś.

Proste zdanie. Żadnej gry.

— Jeszcze nie wiesz, czy nie będziesz żałował.

— To prawda.

— Nie brzmisz na zaniepokojonego.

— Niektóre ryzyka wydają mi się warte podjęcia.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Nie wiedziałam, czy mówił o projekcie. Podejrzewałam, że on również nie zamierzał tego wyjaśniać.

Wyszłam na ulicę i dopiero po kilkunastu krokach wyjęłam telefon.

Marta zadzwoniła ponownie.

— Luiza, musimy podjąć decyzję — powiedziała bez przywitania. — Organizatorzy potrzebują potwierdzenia.

Spojrzałam na bibliotekę przez mokrą szybę przystanku.

— Jadę do Kopenhagi — odpowiedziałam.

Wypowiedzenie tych słów przyniosło mi ulgę. To była moja szansa, wypracowana latami samodzielnych decyzji, i nie zamierzałam jej stracić dlatego, że poznałam interesującego mężczyznę.

— Świetnie. Potwierdzam więc rezydencję. Szczegóły wyślę mailem.

Rozłączyłam się.

Chwilę później dostałam wiadomość od Adama.

Przesyłam wstępny opis projektu. Jeśli nadal masz ochotę, proponuję omówić go jutro. I obiecuję nie krytykować twoich nosów.

Uśmiechnęłam się.

Odpisałam, zanim zdążyłam przeanalizować wszystkie możliwe konsekwencje.

Jutro pasuje. Ale uprzedzam, że moje nosy nie podlegają negocjacjom.

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast.

W takim razie zaczynamy od trudnych tematów.

Schowałam telefon, kiedy nadjechał tramwaj.

Miałam przed sobą wyjazd, nowy projekt i człowieka, który w ciągu dwóch spotkań zdążył zakwestionować więcej moich przyzwyczajeń niż ktokolwiek przez ostatni rok.

Nie zamierzałam zmieniać swoich planów.

Chciałam jednak zobaczyć, co wydarzy się jutro.